

Debata o uchodźcach i kres języka religijnego w polityce

28 września 2015

Kiedy za jakiś czas opadnie kurz z dzisiejszych sporów o uchodźców i imigrantów, wszyscy zauważymy coś istotnego, co dziś nam umyka: kres języka religijnego w polityce. Jest to wspólne dzieło PO i PiS, dokonane wręcz komplementarnie. PO i PiS pokazały nam wyraziście, że odwołują się do języka religijnego wtedy gdy wspiera on ich politykę i dystansują się odeń, gdy jest niewygodny.

Obecnie doszło bowiem do całkowitego odwrócenia ról: w kwestii imigrantów to PO szermuje papieżem i stanowiskiem Kościoła, PiS zaś mówi językiem świeckim. Bardzo dobrze było to widać dziś w dyskusji Kawa na ławę w TVN24.

Oczywiście, konserwatywni katolicy będą twierdzić, że problem tkwi w papieżu, który jest lewacki, tyle że Franciszek po prostu nawiązuje do średniowiecznego nurtu franciszkańskiego w katolicyzmie a jego głos o uchodźcach jest bliski ewangelijnemu, a ewangelia słabo się sprawdza jako instrument polityczny i państwowy. Katolicyzm często wiązał się z politykami konserwatywnymi, lecz równie często miał problemy z politykami narodowymi, gdyż esencjonalnie jest globalistyczny oraz uniwersalistyczny. Głos papieski wobec uchodźców to głos ewangelii i interesu Kościoła jako całości. Siłą rzeczy nie zawsze będzie on współgrał z interesami poszczególnych państw katolickich.

PiS wprowadzie wypomina PO, że nie odwołują się do głosu i stanowiska Kościoła w innych sprawach, lecz widzą też wyraźnie, że oni także odwołują się do głosu Kościoła tylko w niektórych sprawach.

PO jest partią „unijną”, PiS – ludową. Ani PO ani PiS nie są partiami stricte katolickimi. PO odwołuje się do nauczania

kościół w kwestiach uchodźców, lecz dystansuje się w kwestiach obyczajowych. PiS na odwrót. PiS jest partią umiarkowaną narodową i wbrew przekazowi mainstreamu nie jest uległe Kościołowi, tylko odwoływała się doń w tych kwestiach, które współgrały z polityką partii. Warto przypomnieć, że największe napięcie na linii Polska-Watykan zostało wywołane przez władze PiS (sprawa dymisji abpa Wielgusa). PiS częściej odwołuje się do języka religijnego tylko ze względu na to, że jest partią ludową, a polski lud jest katolicki. Partia wielkomiejskich elit siłą rzeczy może być znacznie bardziej laicka, co jednak jak widać nie stoi na przeszkodzie odwoływaniu się do religii, kiedy dotyczy to polityki kontynentalnej.

Niniejszy tekst nie jest potępieniem „hipokryzji” politycznej. To co PO i PiS zrobiły z językiem religijnym to pozytywne zjawisko. Nie oznacza ono, że Kościół znika z przestrzeni publicznej. Oznacza natomiast, że nie będzie już miejsca w polityce na pseudouzasadnienia za pomocą głosu Kościoła. Partie mogą śledzić jakie stanowisko w takiej czy innej sprawie ma największa instytucja społeczna w kraju, lecz nie będą już mogły uzasadniać takiej lub innej polityki za pomocą „Bo Kościół tak chce”. Trzeba będzie szukać świeckich racji i argumentów – a to jest pozytywna zmiana, gdyż wszelkie racje należy uzasadniać merytorycznie, natomiast odwoływanie się do stanowiska Kościoła wywołuje dwa negatywne zjawiska:

1. Katolicy nie zawsze pamiętają, że Kościół jest instytucją globalną, która łączy w sobie racje ewangelii i instytucji kościoła jako całości.

To jednostki powinny być moralne, państwa powinny być amoralne, skrojone zgodnie z interesem poszczególnych społeczeństw.

Papież Franciszek robi dziś chrześcijaństwu dobrą robotę, otwierając się na dialog z islamem. Nie ma dziś już miejsca na antyislamską postawę Ratzingera. Chrześcijaństwo w Europie

Zachodniej nie walczy dziś o zwycięstwo, lecz o szansę na przyszłą tolerancję. Religia pogańska w starożytnym Rzymie też nie byłaby tak tępiona po sukcesie chrześcijaństwa, gdyby wcześniej nie prześladowała go tak panicznie. Franciszek chce doprowadzić do tego, by polityka antyislamska w Europie nie była utożsamiana z chrześcijaństwem, lecz ze świeckimi rządami.

Politycy państwa polskiego powinni jednak kwestię imigrantów oceniać w jej całości i zgodnie z interesami polskiego społeczeństwa. W przeciwieństwie do Kościoła, ich misją nie jest zbawianie świata, lecz tego jego fragmentu, który leży między Bugiem i Odrą.

Im Kościół staje się bliższy ewangelii, tym trudniej jest go przekładać na język polityczny. Wiele nauk ewangelijnych, które mają swój głęboki sens na poziomie jednostek, są nieprzystawalne do działalności państwa. Przykładowo co zrobić z pouczeniem „Nie sądźcie, byście nie byli sądzeni”? Może ono mieć sens cywilizacyjny: skala przestępczości więcej mówi o niedoskonałości systemów politycznych aniżeli „niemoralności” jednostek. Im bardziej efektywny system, tym mniejsza w nim będzie przestępczość. W systemie idealnie efektywnym i inkluzywnym, który zlikwiduje margines społeczny i wykluczanie, przestępczość będzie dążyła do zera, a jej niewielka skala będzie w niemal całości wytłumaczalna dysfunkcjami biologicznymi lub chorobami. Tyle że obecnie żyjemy w systemach dalekich od takich inkluzywnych ideałów, więc ewangelijna zasada może mieć sens tylko w mikroskali, na poziomie jednostek. Na poziomie państwa byłaby szkodliwa.

Obecnie Kościół Franciszka dość wyraźnie ciąży ku ewangelii, więc siłą rzeczy w polityce narodowej będzie on mocno nieprzystawalny. Nie oznacza to oczywiście, że środowiska ludowe czy narodowe przestaną być katolickie. Oznacza to jedynie, że katolicyzm mniej będzie się nadawał do retoryki stricte politycznej.

Konserwatyści często uważają, że Kościół jest jakoś immanentnie konserwatywny obyczajowo i że przetrwał tyle, dzięki swej niezmienności nauczania. W istocie Kościół przetrwał dwa tysiące lat nie dzięki rzekomej niezmienności, lecz właśnie dzięki umiejętności ewolucji, dzięki umiejętności przystosowywania się do zmian cywilizacyjnych. Owa umiejętność to nie proste wtapianie się w „ducha czasu”, lecz cybernetyka społeczna.

By to zobrazować sięgnijmy do konkretnego. Dlaczego Kościół jest niechętny związkowi homoseksualnemu? Czy dlatego, że jest strażnikiem jakiegoś „porządku naturalnego”? Przecież katolicyzm w przeciwieństwie do religii pogańskich, nie przywiązuje nabożnego szacunku do natury biologicznej. Przeciwnie wręcz jest wobec niej wyraźnie polemiczny poprzez swój celibat. I takie są też ewangelie, które są jeszcze mniej „rodzinne”.

By zrozumieć stanowisko kościelne nie można zapominać o pewnym paradoksie: Kościół katolicki jest prawdopodobnie największą na świecie instytucją skupiającą homoseksualistów. Wedle badań socjologicznych nawet do połowy kleru to homoseksualiści. Kościół nie chce, by homoseksualiści wiązali się w pary na wzór heteroseksualistów, gdyż przez to straci swoich najlepszych funkcjonariuszy. Nie jest przypadkiem, że w krajach liberalnych obyczajowo Kościół staje przed problematycznym zjawiskiem, które określa się mianem „kryzysu powołań”.

Kościół nie walczy z homoseksualistami, Kościół walczy o homoseksualistów.

Niewiążący się w związki małżeńskie homoseksualiści to optymalni kandydaci na funkcjonariuszy katolickich oddanych interesowi instytucji. Można by powiedzieć, że rozwiązaniem mogłoby się stać kapłaństwo kobiet oraz zniesienie celibatu. Z cybernetycznego punktu widzenia, w interesie najlepszego wystereowania sprawnej instytucji są to rozwiązania ułomne.

Każda osoba żyjąca w związku prawie zawsze na pierwszym miejscu przedkłada interesy prywatne, rodzinne, nad interesami instytucji. Eunuchy na dawnych dworach byli często mistrzami polityki właśnie dzięki brakowi popędów i rodzin. Dzięki temu byli bardziej odporni na szantaże, korupcję i zastraszanie. Instytucja oparta na eunuchach oraz bezzwiązkowcach to instytucja niezwykle odporna na dezintegrację i zniszczenie. To tajemnica sukcesu Kościoła.

Kościół oparty na funkcjonariuszach żyjących w związkach nie miałby szansy tyle przetrwać, poza tym łatwo stałby się rozbity i narodowy. W pierwszych wiekach Kościoła nie było zbyt konsekwentnego celibatu, większość księży żyła w związkach, i okres ten skończył się dla Kościoła marnie – ugrzązł on podporządkowany politykom narodowym, w kompletnym rozkładzie instytucjonalnym – tym była tzw. pornokracja w Watykanie w okolicach X w.

Po przeforsowaniu celibatu jako obowiązku, w którym nie to było najważniejsze, by księża nie współżyli seksualnie, ile to, by nie wiązali się w związki i rodziny – Kościół zbudował potęgę instytucjonalną i zuniwersalizował się, uwalniając się od mozaiki polityk narodowych, w których np. księża francuscy mieli zupełnie inne interesy niż księża niemieccy.

Idealną dla interesów instytucji beżzenność najlepiej realizuje się poprzez homoseksualistów. Często wskazuje się, że związki homoseksualne są mniej trwałe niż heteroseksualne – związane jest to z dziećmi. Wszyscy bowiem wiemy, że nic tak nie cementuje związków jak dziecko. Związki bezdzietne są równie niestabilne u homoseksualistów, jak i u heteroseksualistów.

Kościół jest krytyczny wobec związków homo nie przez domniemaną „homofobię instytucjonalną” ani nie przez uznanie świętości natury biologicznej, lecz właśnie z powodów czysto cybernetycznych – dla efektywności swojej instytucji.

Kapłaństwo kobiet w tym ujęciu jest dla Kościoła również ryzykowne: celibat trudno jest zachować nawet w instytucji jednorodnej płciowo. Gdyby obok księży kręciły się także „księżniczki” to celibat stałby się całkowitą fikcją (a jak wiadomo romanse najłatwiej zawiązują się w pracy, w towarzystwie relacji zawodowych; na poziomie funkcjonariusz-petent znacznie o takie sytuacje trudniej).

Instytucja oparta na funkcjonariuszach żyjących w związkach nie miałaby szans przetrwać dwa tysiące lat. Kilkusetletnie kościoły protestanckie są już ledwie cieniami instytucjonalnymi w porównaniu do Kościoła katolickiego. Kościół prawosławny natomiast jest całkowicie partykularny – jest przedłużeniem władzy świeckiej. Nigdy nie zdołał osiągnąć takiego potencjału instytucjonalnego jak katolicki.

Z europejskiej perspektywy katolicyzm wydaje się religią gasnącą. Tak jednak jak w Europie Zachodniej islam wydaje się religią przyszłości, tak w USA to właśnie katolicyzm będzie dominował. Jest to kariera tym bardziej zdumiewająca, że Stany powstały jako państwo najczystiej protestanckie. Na początku wojny o niepodległość katolicy stanowili zaledwie 1%. Przez większość istnienia tego państwa katolicyzm był najbardziej dyskryminowanym światopoglądem. Indyferencja religijna nie stanowiła problemu w drodze do prezydentury, katolicyzm zaś przekreślał kandydata. Pierwszym w historii prezydentem-katolikiem został John F. Kennedy. Traf chciał, że akurat ten prezydent zginął w zamachu, który obrósł większą liczbą teorii spiskowych aniżeli katastrofa smoleńska czy 11/09 – w przeciwieństwie do tych tragedii, mało kto w USA wierzył w oficjalną wersję dochodzenia. W XX w. katolicyzm stale rośnie w USA. Dziś katolicyzm stanowi już największą grupę wyznaniową w USA z 22% społeczeństwa.

Z drugiej jednak strony postawy przeciwne, dążące do „coming outów” i legalizacji homozwiązków, również nie powinny być rozpatrywane w kategoriach czysto aksjologicznych – posiadają one bowiem także swoje racje cybernetyczne.

Bynajmniej nie wszyscy homoseksualiści są zwolennikami wielkiej kampanii politycznej na rzecz homomałżeństw czy tym bardziej adopcji dzieci. Gdy 10 lat temu tworzyłem Polskie Stowarzyszenie Racjonalistów wśród pierwszych osób jakie się w nie zaangażowały była para gejów – dziennikarz radiowy i ekonomista. Chcieli oni tworzyć organizację laicką i zupełnie nie byli zainteresowani w angażowaniu się w jakieś kampanie na rzecz zmian prawnych dotyczących homoseksualistów. Z czasem jakoś „naturalnie” nasza organizacja zaangażowała się na rzecz mniejszości seksualnych. Im natomiast nie podobały się marsze równości, które uważali, że budzą niechęć społeczną wobec gejów. I szybko odpadli ze stowarzyszenia.

To tylko anegdota, by pokazać, że temat homoparad nie jest taki prosty jak może się wydawać. Istnieją jednak poważne racje cybernetyczne na rzecz tezy, że kultura coming outu służy demokracji. Skoro geje dobrze się sprawdzają w instytucjach kościelnych, dzięki temu, że o wiele rzadziej służą rodzinie i o wiele mocniej mogą się poświęcić instytucji kościelnej – to mogą stanowić również atut instytucji państwowych, a w demokracji to bardzo trudne, gdyż opinia publiczna traktuje nieufnie świeckich celibatariuszy (singli). Przyjęło się uważać, że lepszym politykiem będzie ten, kto ma żonę/męża, choć tacy politycy są o wiele bardziej skłonni do prywaty niż osoby, których „rodziną” jest partia, państwo i inne kolektywy i instytucje.

Człowiek jest z natury istotą społeczną, więc ludzie którzy nie posiadają rodzin swój sens życiowy lokują w „zastępczych” wspólnotach/kolektywach. Może to być kościół, partia, często jest to firma. Niemniej jednak demokratyczna opinia publiczna nie rozumie tego. I dlatego też nasze formy państwowe, które tworzymy są o wiele słabsze i bardziej ulotne instytucjonalnie aniżeli to co wytworzył Kościół katolicki.

Kultura coming outu może więc wzmocnić funkcjonowanie demokratycznych instytucji – nie tyle w sensie opierania ich na bezzwiązkowcach, co przede wszystkim przez niewykluczanie

bezzwiązkowców czy osób o innej orientacji. Jest bowiem oczywiste, że osoby homoseksualne dziś także obficie występują w polityce, tyle że często odbywa się to poprzez półfikcyjne heteromałżeństwa. I dziś osoby takie nie tylko nie stanowią siły instytucji, lecz są słabymi ogniwami, gdyż prowadząc podwójne życie prywatne są nader łatwym celem szantażów i manipulacji. Kultura coming outu może zlikwidować tę słabość naszych demokracji, która jest większa niż większość opinii publicznej sądzi.

Drugą negatywną konsekwencją obecności języka religijnego w polityce jest:

2. Zapominanie przez osoby niereligijne, że nie każda teza popierana przez Kościół katolicki jest emanacją wierzeń religijnych.

Przejawia się to w chronicznym „automatycznym” odrzucaniu przez niewierzących, ateistów i antyklerykałów tego co postuluje bądź broni Kościół.

Zaangażowanie w tematykę mniejszości seksualnych w założonym przeze mnie stowarzyszeniu laickim nie opierało się na jakimś wsłuchaniu się w głos znanych nam homoseksualistów (jak wskazałem wyżej, jedynymi osobami niechętnymi takiemu zaangażowaniu na wczesnym etapie byli właśnie homoseksualiści). Było to prostą konsekwencją tego, że akurat w tę sferę zaangażowany był Kościół i osoby niereligijne spozycjonowały się tutaj jako negacja.

Społeczeństwo tolerancyjne i inkluzywne wobec mniejszości seksualnych jest oczywiście jak najbardziej pożądane, tyle że droga doń niekoniecznie musi wieść ścieżką, która została przyjęta.

Innym przykładem jest kwestia in vitro. Środowiska laickie zaangażowały się mocno po stronie obrońców finansowania publicznego dlatego, że akurat Kościół był przeciw. Pomimo że kiedy zaogniał się ten spór, osoby związane zawodowo ze służbą

zdrowa w środowisku laickim patrzyły na to zdroworozsądkowo a nie ideologicznie. Podczas kiedy myśmy rozumowali w następujący sposób: Kościół się myli, metoda in vitro nie jest „diabelska”, więc należy popierać finansowanie, medycy rozumowali tutaj sensowniej: metoda in vitro nie jest może diabelska, ale w sytuacji kiedy służbie zdrowia nie wystarcza pieniędzy na PODSTAWOWE FUNKCJONALNOŚCI i terapie, podczas kiedy – przykładowo – masowo ucina się stopy cukrzycowe, bo „nie opłaca się” ich leczyć – w takiej służbie zdrowia nie ma miejsca na publiczne finansowanie in vitro tylko dlatego, że najpierw trzeba zapewnić finansowanie podstawowych wyzwań służby zdrowia, a następnie dopiero iść w cele bardziej ambitne.

Niestety tego rodzaju zdroworozsądkowe rozumowanie jest powszechnie upośledzane – przez obecność języka religijnego w polityce.

Dlatego właśnie z obecną debatą o uchodźcach, kiedy tak modelowo wykazano nieprzystawalność języka instytucji uniwersalistycznej do języka instytucji narodowej – wiąże pozytywne nadzieje.

Autorstwo: Mariusz Agnosiewicz

Źródło: Racjonalista.pl